

EUGENIUSZ GRODZIŃSKI

JESZCZE JEDNA STRONA W POLEMICE
(NA MARGINESIE UWAG EWY DOROBIŃSKIEJ O MOJEJ DYSKUSJI
Z KORYFEUSZAMI)

Ewa Dorobińska rozpoczyna swą ocenę mojej książeczki *Koryfeusze nie są nieomylni od słów Książka, z której tekstem trudno się zgodzić*. Dalej w tymże zdaniu wspomina o proteście, który moja praca wywołuje. Z tych zapowiedzi można wywnioskować totalne odrzucenie przez recenzentkę tej książki. Tymczasem po lekturze całości recenzji dochodzi się do wniosku, że wcale tak nie jest. Niemalą część moich twierdzeń E. Dorobińska akceptuje, z innymi polemizuje; należałoby jednak, jak się wydaje, przeprowadzić dość żmudne obliczenia, aby ustalić, czy więcej jest też zaakceptowanych, czy odrzuconych.

Zamierzam w niniejszych uwagach bronić tych moich twierdzeń, z którymi recenzentka się nie zgadza, jednak już w tej wstępnej fazie dyskusji pozwolę sobie wypowiedzieć pewną ogólną opinię o opracowaniu E. Dorobińskiej. Przedstawia się ono, moim zdaniem, korzystnie na tle elaboratów tych, na szczęście nielicznych, recenzentów (które odnoszą się do różnych pozycji naukowych), którzy zasadnicze, a właściwie jedyne swe zadanie upatrują w bezwzględnym, czasem brutalnym, potępieniu tego wszystkiego, co autor danej pracy napisał, co się z kolei może łączyć z próbą dyskredytacji samej osoby autora. Jest to ze strony tych recenzentów nader wątpliwy sposób budowania własnego autorytetu naukowego. Przykładami mogą w razie konieczności służyć.

E. Dorobińska nie usiłuje ranić ambicji autora obrażając go. Twierdzenia swe obszernie uzasadnia, co spowodowało, że recenzja w gruncie rzeczy małej książeczki liczącej wprawdzie 200 stron, ale kieszonkowego formatu, wynosi aż 24 strony maszynopisu. Powtarzam, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego recenzentka określiła swoje opracowanie mianem protestu przeciw mojej pracy.

Gdybym zamierzał polemizować ze wszystkimi wywodami E. D o r o b i ń s k i e j, w których nie zgadza się ona całkowicie lub częściowo z moimi twierdzeniami, musiałbym napisać artykuł co najmniej kilkudziesięciostronicowy. Znaną jest bowiem rzeczą, że ten, kto usiłuje wykazać niesłuszność sformułowanego pod jego adresem zarzutu, zużywa na to za-

zwyczaj o wiele więcej słów aniżeli autor zarzutu. Przeto ograniczę się do rozważania kwestii, które wydają mi się ważniejsze. W pierwszym szkicu mojej książki poświęconym polemice z A. Tarskim zaczynam jednak nie od T a r s k i e g o, a od przytoczenia słów Kreteńczyka E p i m e n i d e s a, który podobno miał powiedzieć: *Wszyscy Kreteńczycy zawsze kłamią*. Piszę: *Gdyby było tak, że Kreteńczycy zawsze kłamali, to Kreteńczyk Epimenides nie mógłby tego stwierdzić, gdyż byłoby to przecież twierdzenie prawdziwe, jeśli jednak Epimenides tak powiedział, dowodzi to niezbicie, że skłamał. Z faktu wszak, że Epimenides kłamał mówiąc, że Kreteńczycy zawsze kłamią... wynika jeden tylko wniosek, a mianowicie, że kłamali oni nie zawsze, innymi słowy iż czasem kłamali, a czasem mówili prawdę* (s. 23). Dodam obecnie: Mogło oczywiście być i tak, że Kreteńczycy nigdy nie kłamali, lecz zawsze mówili prawdę, ale taka ewentualność bynajmniej nie wynika z kłamliwości twierdzenia E p i m e n i d e s a, iż Kreteńczycy kłamali zawsze. Swoją drogą, ewentualność absolutnej prawdziwości Kreteńczyków wydaje się bardzo nieprawdopodobna, gdyż kłamstwa przytrafiają się, i to nierzadko, członkom wszystkich narodowości świata, dlaczego więc Kreteńczycy mieliby być lepsi od innych?

Rozumowanie, z którego wynika, że Kreteńczyk Epimenides kłamał twierdząc, że Kreteńczycy zawsze kłamią, wydaje mi się niepodważalnym i nie wymagającym żadnych uzupełnień, jednak recenzentka uznała za niezbędne uzupełnić je dłuższym wywodem, po którym pisze: *Nawet jednak po tych uzupełnieniach wywodu E. Grodzińskiego konkluzja pozostaje ta sama — Epimenides kłamał, a najstarsze sformułowanie paradoksu kłamcy nie jest żadnym paradoksem*. Twierdząc w ten sposób, E. Dorobińska całkowicie przyłącza się do mego stanowiska.

Dalsze uwagi E. Dorobińskiej odnoszą się już bezpośrednio do mojej obrony języka naturalnego przed krytyką ze strony Alfreda T a r s k i e g o, którego zasadniczy zarzut pod adresem tego języka brzmiał jak wiadomo: *Przedmiot rozważań... stanowi język potoczny* (nazwą tą T a r s k i określał język naturalny — E. G.); *ostateczna konkluzja tych rozważań jest wybitnie negatywna: w odniesieniu do języka potocznego niepodobna, jak się zdaje, już nie tylko zdefiniować pojęcia prawdy, ale nawet konsekwentnie i zgodnie z prawami logiki operować tym pojęciem (Pojęcie prawdy w językach nauk dedukcyjnych)*.

T a r s k i uzasadniał swe twierdzenie powołaniem się na to, że język naturalny dopuszcza sformułowanie w nim paradoksów (antynomii) semantycznych, wśród nich paradoksu kłamcy. Z paradoksu tego wynika — zdaniem Tarskiego — jednoczesna prawdziwość dwóch zdań sprzecznych, a skoro język naturalny na to się godzi, więc nie można w nim ani definiować pojęcia prawdy, ani zgodnie z prawami logiki posługiwać się tym pojęciem. Odpowiadając Tarskiemu piszę w swej książeczce:

Nasza krytyka stanowiska Tarskiego polega na przeprowadzeniu dowodu, iż paradoks kłamcy w dowolnym swym sformułowaniu jest bezsenssem, a z bezsensu żadnych sensownych zdań wywnioskować nie można: ani sprzecznych, ani niesprzecznych, ani prawdziwych, ani fałszywych. Zatem możliwość sformułowania w języku naturalnym paradoksu kłamcy i innych paradoksów semantycznych, nie jest żadną przeszkodą do operowania tym językiem w rozważaniach naukowych, jak również do poprawnego definiowania w nim pojęcia prawdy (s. 8—9).

Recenzentka popiera punkt widzenia Tarskiego, odrzucając mój sprzeciw wobec niego. Przyznaje co prawda, że paradoks kłamcy jest bezsenssem (i tu, jak się wydaje, godzi się z moją argumentacją), ale uważa, że z bezsensu nie można wydedukować żadnych zdań sensownych, w tym zdań sprzecznych, ale wywnioskować takie zdania z bezsensu można. *Pojęcie dedukowania* — pisze E. Dorobińska — *nie pokrywa się wszak z pojęciem wnioskowania — jest odeń znacznie węższe*. Jest dla mnie całkowicie niejasne, na czym opiera recenzentka to swoje przekonanie odnośnie do paradoksu kłamcy. Właściwość tego paradoksu jako bezsensu przejawia się m. in. właśnie w tym, że nie można z niego ani wydedukować, ani wywnioskować żadnego zdania sensownego.

E. Dorobińska twierdzi dalej, że ten czy inny uczony może wprowadzić do swych rozważań naukowych paradoks kłamcy, wcale nie zdając sobie z tego sprawy. W związku z tym pisze:... *gdyby każdorazowy przypadek zaistnienia paradoksu w teorii pociągał za sobą konieczność pojawienia się w niej dwóch zdań sprzecznych, kłopot nie byłby tak wielki i sprowadzałby się jedynie do żalu za straconym czasem. Problem jednak w tym, że żadnej takiej konieczności nie ma i język naturalny kryje w sobie niebezpieczeństwo mimowolnego popadnięcia w fałsz*. Tutaj aż się proszą następujące uwagi:

po pierwsze — jeżeli jakiś uczony bezwiednie wprowadza do swych rozważań paradoks kłamcy, to rozważań tych nie należy — przynajmniej w tym miejscu — traktować jako naukowych;

po drugie — i co najważniejsze, język naturalny niewątpliwie kryje w sobie niebezpieczeństwo mimowolnego (a także rozmyślnego) popadnięcia w fałsz. Od początku istnienia ludzkości w języku naturalnym wypowiedziano niezliczone miliardy zdań fałszywych. Ale co to ma wspólnego z rzekomą niezdatnością języka naturalnego do definiowania w nim pojęcia prawdy i do operowania w nim tym pojęciem zgodnie z prawami logiki? T a r s k i uważał, że poprawną definicję prawdy można sformułować jedynie w języku sformalizowanym skończonego rzędu, ale czyż język ten ma absolutny monopol na prawdę i nie można w nim w ogóle wypowiadać też fałszywych?

Jest oczywiste, że w języku naturalnym można formułować paradok-

sy semantyczne i inne bezsensy. Ale to w najmniejszym stopniu nie ujmuje językowi naturalnemu jego wartości, odwrotnie, podkreśla jego bogactwo. Skoro bezsens jest świadomym wybrykiem lub nieświadomym zniekształceniem intelektu ludzkiego, jest zatem faktem istniejącym, to musi on mieć swą reprezentację językową, a znajduje ją właśnie w języku naturalnym. Zresztą nie tylko w naturalnym. Formuła logiczna $p \sim q$ jest także bezsenssem.

Pragnąc bronić stanowiska Tarskiego, recenzentka wynajduje jeszcze jeden argument, który — jak należy sądzić — samemu Tarskiemu u byłby całkowicie obcy. Powszechnie przeprowadza się dwupodział języka: na język naturalny oraz języki sformalizowane. Różnica między nimi jest oczywista: język naturalny składa się ze słów, języki sformalizowane — z symboli. Jako równoważny z terminem *języki sformalizowane* używa się także terminu *języki sztuczne*. Geneza tego terminu jest następująca: uważa się intuicyjnie, że język naturalny powstaje i rozwija się w sposób spontaniczny. Ludzka wiedza o świecie stale się pogłębia, powstają wciąż nowe pojęcia, a one wymagają powstawania nowych wyrazów. Natomiast symbole naukowe powstają nie spontanicznie, lecz w wyniku żmudnego trudu naukowców różnych specjalności. Dlatego właśnie języki sformalizowane określa się jako sztuczne. Powtarzamy: podział ten jest konsekwencją pewnych intuicji językowych, lecz przedstawia się właśnie w ten, a nie inny sposób.

E. Dorobińska zastępuje ów dwupodział trójpodziałem: język naturalny, języki sztuczne, języki sformalizowane. Traktuje więc języki sztuczne jako odrębną od języków sformalizowanych postać języka. Pisze: *Przyjrzyjmy się więc bliżej owemu utożsamianiu języka sztucznego ze sformalizowanym. Granica pomiędzy językiem naturalnym a naukowym nie jest wprawdzie ostra, zwłaszcza przy założeniu, że język naturalny zachowuje swoją tożsamość przy wprowadzeniu doń nowych terminów, ale mimo to wątpliwości budzi teza, że niesformalizowany język, którym operuje dziś fizyka, biologia, chemia itd., jest językiem naturalnym, a nie sztucznym i to nie tylko ze względu na hermetyczność terminologii. Rozwój wiedzy o języku, rugowanie zeń wyrażeń nieostrych, wprowadzenie definicji regulujących oraz projektujących, dbałość o metodologiczną poprawność wnioskowań, odróżnianie rozważań przedmiotowych od meta-naukowych itd., wszystko to oddala coraz bardziej nawet niesformalizowane języki nauk szczegółowych od języka naturalnego. Toteż konstatacja Autora, że „dziesiątki (...) tysiocy naukowców na całym świecie nadal prowadziło i prowadzi swe prace w języku naturalnym”, wydaje mi się co najmniej nieostrożna.*

Z powyższej wypowiedzi E. Dorobińskiej wynika, że jako języki sztuczne traktuje ona niesformalizowane języki współczesnej nauki.

Ale to kryterium odróżnienia języków sztucznych od naturalnego wydaje się wadliwym. Dlaczego język nauki, poczynając od starożytności i kończąc na XIX wieku, ma być językiem naturalnym, a język nauki dwudziestowiecznej — językiem sztucznym? Nie ma żadnych podstaw do przeprowadzenia tego rodzaju jakościowego rozróżnienia między językiem nauki współczesnej a językiem nauki dawniejszej. Uczni z całą pewnością swego języka w tak zasadniczy sposób nie zmienili. Językiem naturalnym jest dziś, jak dawniej, cały język składający się ze słów, natomiast językiem sformalizowanym, inaczej sztucznym, język, którego tworzywem są symbole. Kryterium to żadnej zmianie nie uległo.

Recenzentka stwierdza: *w omawianej tu pracy udowadniałoby się co najwyżej tyle, że, pojęcie prawdy można zdefiniować i posługiwać się nim w językach niesformalizowanych, ale też nienaturalnych. Twierdzenie zaś to nie przeczy tezie Tarskiego.*

Twierdzenie o tajemniczych językach niesformalizowanych, ale też nienaturalnych wygłasza jednak E. Dorobińska wyłącznie na własną odpowiedzialność; jest ono natomiast głęboko sprzeczne zarówno z moim stanowiskiem, jak i ze stanowiskiem Tarskiego. Ja staram się udowodnić, że w języku naturalnym można zarówno zdefiniować pojęcie prawdy, jak i poprawnie nim operować, T a r s k i natomiast musiałby się stanowczo sprzeciwić twierdzeniu, że pojęcie to można zdefiniować i zgodnie z prawami logiki nim się posługiwać w jakimkolwiek języku niesformalizowanym. Dowodził przecież, i to stanowiło istotę jego pracy *Pojęcie prawdy w językach nauk dedukcyjnych*, że tylko w językach sformalizowanych i to wyłącznie w językach sformalizowanych skończonego rzędu, można *skonstruować w metajęzyku formalnie poprawną i merytorycznie trafną definicję zdania prawdziwego.*

Bardzo ważnym komponentem mego szkicu jest obrona języka naturalnego. Wbrew opinii recenzentki w pełni uznaję wagę całokształtu dokonań naukowych Tarskiego, ale jeszcze wyżej od dokonań poszczególnego uczonego cenię język naturalny, stanowiący olbrzymie dobro ogólnoludzkie, którego wartość została w pracy Tarskiego w określony sposób pomniejszona. Dzięki pojawieniu się i rozwojowi tego języka nasi zwierzęcy przodkowie stali się ludźmi. Tylko język naturalny wyraża najgłębsze, najbardziej istotne treści psychiczne człowieka: akty intelektu, emocje, akty woli. Języki sformalizowane rozwijają się w gwałtownym tempie w różnych dziedzinach ludzkiej aktywności, jednak nigdy nie zastąpią języka naturalnego, na zawsze pozostaną w dyspozycji człowieka jedynie jako narzędzie uzupełniające ten język i pomocnicze względem niego. Gdyby język naturalny został wyparty przez języki sformalizowane, które według Tarskiego mają monopol na prawdę, lu-

dzie zamieniliby się w roboty, a gatunek *homo sapiens* przestałby egzystować na Ziemi.

Jednak w swym eseju wypowiadam określoną pretensję nie pod adresem Tarskiego, który dawał wyraz swym poglądom, na co każdy uczony ma prawo, lecz pod adresem tych wszystkich naukowców, którzy znając stanowisko Tarskiego i pozornie je akceptując, niemniej od 1933 roku i do dnia dzisiejszego kontynuują pisanie swych prac w języku naturalnym. Jedno z dwojga: albo w istocie rzeczy się z T a r s k i m nie zgadzają, i w tym wypadku, przemilczając tę niezgodę, przejawiają oportunizm, albo też z niewiadomych powodów, miast wybrać język doskonały, posługują się językiem ułomnym, o którym mniemają, że nie można w nim zgodnie z prawami logiki, operować najważniejszym pojęciem naukowym: pojęciem prawdy. W ten sposób z góry pozbawiają wartości owoce własnego wysiłku intelektualnego.*

* *

Przechodzę do oceny przez E. Dorobińską mego szkicu *O pewnej wadliwej koncepcji semantycznej Gottloba Fregego*. Wydaje się, że w całości popiera ona moją krytykę Frege'owskiej koncepcji denotatu zdania jako jego wartości logicznej, uzupełniając w niektórych miejscach moje wywody własnymi rozważaniami. Jedyne jej zastrzeżenie odnoszące się do tej części książki dotyczy mojej interpretacji pojęcia faktu, której recenzentka zarzuca brak precyzji. Jako przykład owej nieprecyzyjności wymienia użycie przeze mnie terminu *nie istniejący fakt*. Tu należy zaznaczyć, że jeśli zwrot *nie istniejący fakt* rozumieć dosłownie, to można go oskarżyć o coś jeszcze gorszego aniżeli nieprecyzyjność, mianowicie o wewnętrzną sprzeczność. Fakt jest to bowiem przedmiot lub zjawisko, które istnieją, ściśle — faktem jest istnienie przedmiotu czy zjawiska. A więc w rozumieniu dosłownym nie istniejącym faktem byłby przedmiot (zjawisko), który istnieje, a jednocześnie nie istnieje. A jednak w pewnych sytuacjach bez stosowania terminu *nie istniejący fakt* bardzo trudno się obejść. Należy go jednak poddać szerszej interpretacji. Termin *nie istniejący fakt* oznacza w moim przekonaniu nie istniejące w realnej rzeczywistości przedmiot lub zjawisko, które pewna jednostka ludzka lub grupa ludzi wyobraża sobie jako istniejące, przy czym nie ma tu znaczenia okoliczność, czy owa jednostka lub grupa zdają sobie sprawę z nieistnienia tego przedmiotu lub zjawiska w realnej rzeczywistości, czy też żywią mylne przekonanie o ich istnieniu.*

* *

Zastanawiając się nad moim trzecim szkicem *Semantyka i pragmatyka. Odejście od Carnapa i Morrisa*, recenzentka pisze: *Należałoby więc*

zgodzić się z E. Grodzińskim, że wszystkie podstawowe pojęcia semantyczne, wbrew Carnapowskiej koncepcji semantyki, mają w istocie charakter pragmatyczny.

W odniesieniu do koncepcji Morrisa E. Dorobińska stwierdza: *Przeprowadzona przez E. Grodzińskiego krytyka Morrisowskiej koncepcji semantyki i pragmatyki posuwa się torem podobnym jak krytyka myśli Carnapa*. Jednakże pomimo wyrażonego w ten sposób przez recenzentkę poparcia zasadniczych tez mego szkicu, zachodzą między nią a mną pewne istotne różnice zdań, którym należy bliżej się przyjrzeć. Recenzentka pisze: *Trafne natomiast wydają mi się przytoczone przez E. Grodzińskiego uwagi na temat trudności ze zdefiniowaniem tradycyjnie już podstawowych pojęć semantyki takich jak znaczenie, denotacja, desygnat i prawda przy jednoczesnym abstrahowaniu od użytkownika języka* (s. 133).

Oczywiście i temu stwierdzeniu mogę tylko przyklasnąć. Jednakże wnioski, które wyprowadza E. Dorobińska z powyższych przesłanek, są zupełnie różne od moich. Pisze: *Wracając zaś do pragmatycznego charakteru pojęć semantycznych, nasuwa się następująca konkluzja: jeżeli nawet przy definiowaniu owych pojęć musimy odwołać się do aparatu terminologicznego pragmatyki, to dlaczego mielibyśmy odwoływać się do niego nieustannie rozpatrując dalej relacje zachodzące między obiektami zainteresowania semantyki, i kończy: Wydaje się więc, że, można uprawiać semantykę abstrahując od użytkownika znaku*.

W ten sposób E. Dorobińska akceptując moją krytykę poglądów Carnapa i Morrisa, przechodzi jednak na ich pozycje (których zresztą Morris w późniejszym okresie swej twórczości się wyrzekł).

Gdyby recenzentka przeanalizowała rzekomo semantyczną (w rozumieniu Carnapa) tezę, jaką przytaczam na stronie 94 mej książki, być może doszłaby do odmiennego wniosku. Cytuję *Introduction to Semantics* Carnapa, w którym to dziele czytamy: *Tylko gdy ustalimy w drodze obserwacji pragmatycznej fakt, że ludzie ci (Eskimosi — E. G.) mają zwyczaj używania wyrazu „igloo”, gdy zamierzają mówić o domu, jesteśmy w stanie wypowiedzieć semantyczną tezę „igloo oznacza (desygnuje) dom” oraz tezę syntaktyczną, „igloo jest predykatem” (...) Nie oznacza to jednak, że powinniśmy, w obrębie lingwistyki, zawsze wyraźnie nawiązywać do użytkowników odnośnego języka. Z chwilą, gdy semantyczne i syntaktyczne właściwości języka zostały za pomocą pragmatyki ustalone, mamy prawo odwrócić naszą uwagę od użytkowników języka i ograniczyć się do wspomnianych cech semantycznych i składniowych. Tak na przykład dwie przed chwilą wspomniane tezy już więcej nie zawierają wyraźnie pragmatycznych odniesień*.

Istotnie nie zawierają pragmatycznych odniesień, cała bieda jednak

w tym, że obie te tezy są fałszywe. Ani w języku angielskim, w którym pisał Carnap, ani w języku polskim, w którym piszę ja i E. D o r o b i ń s k a, *igloo* me oznacza domu i nie jest żadnym predykatem, ponieważ w żadnym z tych języków wyraz *igloo* nie istnieje. Ażeby uczynić te tezy prawdziwymi, należy je uzupełnić w następujący sposób: „*igloo*” w języku eskimoskim oznacza „dom”, „*igloo*” jest w języku eskimoskim predykatem. Ale czyniąc tak, formułujemy tezy pragmatyczne, rezygnując z fikcji abstrahowania od użytkowników języka.

Utrudnia mi przyjazny na ogół działog z recenzentką fakt przejścia przez nią do porządku dziennego nad ewolucją pojmowania semantyki i pragmatyki przez autorów współczesnych w stosunku do semantyki i pragmatyki Carnapowsko-Morrisowskiej. Ewolucję tę usiłowałem w swym eseju bardzo wyraźnie (choć z konieczności krótko) przedstawić, dzieląc go na dwie części: historyczną i współczesną. Recenzentka tego nie zauważyła. Obecnie chodzi już nie o to, że semantyka abstrahuje od użytkowników języka, pragmatyka zaś obejmuje ich zasięgiem swych badań, lecz o to, że semantyka bada wypowiedzi, których wszystkie człony zostały użyte zgodnie z ich znaczeniami słownikowymi, natomiast pragmatyka studiuje wypowiedzi językowe w ich całokształcie, tzn. nie tylko to, co zostało *expressis verbis* powiedziane, lecz także domyślne części wypowiedzi, intencje autorów wypowiedzi, jak również takie wypowiedzi, których poszczególne człony zostały zastosowane z przekroczeniem ich znaczeń słownikowych. Sądzę, że bardzo podobna była myśl J. K a t z a, który stwierdził, że *znaczenie zdania* reprezentowane jest przez interpretację semantyczną, *znaczenie w kontekście* natomiast — przez reprezentację pragmatyczną. Dziwi mnie bardzo zarzut E. Dorobińskiej, iż nie zrozumiałem tej opinii K a t z a.

Recenzentka pyta z ironią, co to takiego owe znaczenia słownikowe? Myślę, że odpowiedź na to pytanie jest niezwykle łatwa i zawarta jest w samym brzmieniu tego terminu. Znaczenia słownikowe wyrazu są to wszystkie jego znaczenia: podstawowe, pochodne i przenośne, które znaleźć można w jednojęzycznym słowniku danego języka. Służę przykładem. Wyraz *złoty* w znaczeniu podstawowym to tyle, co *zrobiony ze złota* (np. *złota moneta*, *złoty pierścień*, *złoty medal*), w znaczeniu pochodnym to tyle, co *podobny kolorem do złota* (np. *złote włosy*, *złoty łan*). W znaczeniu przenośnym wyraz *złoty* to tyle, co *niezwykle wartościowy, zasługujący na bardzo wysoką ocenę*, np. *złoty człowiek*, *złote serce*, *złote ręce*, *złoty interes*. Prócz tego wyraz ten występuje w licznych frazeologizmach, np. *złote gody*, *złoty środek*, *złota młodzież*. Wszystkie te znaczenia można znaleźć w każdym słowniku języka polskiego. Ale spikerzy radiowi prowadzący koncerty życzeń bardzo lubią wyrażenie *złota para*, które oznacza parę małżeńską obchodzącą złote gody. Otóż wyrażenia tego w żadnym

słowniku nie ma. Przeto wypowiedzi, w których użyto wyrażenia *złota para* należą do zakresu badań pragmatyki. Przejdą do zakresu semantyki, jeżeli wyrażenie to znajdzie się w przyszłych słownikach języka polskiego.

E. Dorobińska przytacza moje zdanie, że znaczenie wyrażenia językowego i jego użycie są nierozdzielne, i stąd zdaje się wyprowadzać wniosek, że znaczenie i użycie to w moim rozumieniu po prostu to samo. Ale to bynajmniej nie jest tak. Ja tezie o tożsamości znaczenia wyrazu (wyrażenia) i jego użycia stanowczo się przeciwstawiam. Nierozdzielność i tożsamość to dwa zgoła inne zjawiska. Bicie serca człowieka jest nierozdzielne z krwiobiegiem, ale bicie serca to wcale nie to samo co krwiobieg. Nierozdzielność użycia i znaczenia oznacza tylko tyle, że żaden wyraz nie może być użyty w mowie, jeżeli nie posiada znaczenia. Wyraz bez znaczenia w ogóle nie jest wyrazem, lecz bezsensownym zespołem dźwięków. Użycie bezsensu w dowolnej wypowiedzi czyni bezsensowną całą wypowiedź.

Nie zgadzam się z definicją L. Wittgensteina, którego zdaniem *znaczeniem słowa jest sposób jego użycia w języku*. Metodyka teorii definicji wymaga, ażeby pojęcia trudniejsze definiować w miarę możliwości przy użyciu pojęć łatwiejszych, Wittgenstein zaś postąpił wręcz odwrotnie. Każdy, kto ukończył przynajmniej szkołę podstawową, intuicyjnie rozumie, co znaczy wyrażenie *znaczenie słowa*, natomiast sens wyrażenia *sposób użycia słowa w języku* nie jest oczywisty nawet dla językoznawców.

Istotne nieporozumienie ma miejsce między E. Dorobińską a mną w kwestii chyba dla całego rozważanego zagadnienia najistotniejszej: czy językoznawstwo byłoby zubożone, gdyby termin *pragmatyka* w nim w ogóle nie istniał? Sądzę, że się nie pomyłę, jeżeli stwierdzę, że E. Dorobińska wychodzi z założenia (podzielanego przez większość językoznawców i semiotyków współczesnych, zwłaszcza młodszego pokolenia), że odróżnienie pragmatyki od semantyki należy do istoty lingwistyki i istniało także i wtedy, gdy same terminy *semantyka* i *pragmatyka* jeszcze nie powstały. Moje wątpliwości w niezbędnosc istnienia pragmatyki jako odrębnej gałęzi językoznawstwa recenzentka uważa za niepotrzebne i niezrozumiałe, oskarżając mnie ponadto o głoszenie poglądów wewnątrznie sprzecznych. (...) *niejakie zdziwienie* — pisze — *budzi decyzja o rezygnacji z pojęcia pragmatyki, a nie semantyki, zwłaszcza że w poprzednich rozdziałach (mojej książki — E. G.) podkreślano nieodzowność istnienia pragmatyki i niemożliwość uprawiania czystej semantyki. Czyż nie za daleko idzie to żądanie wobec owych „czynnych i coraz silniejszych” pragmatyków, szczególnie że ta ich moc winna cieszyć krytyka semantyki Carnapa?*

Na czym polega nieporozumienie? Gdy dowodzę, że niemożliwe jest

uprawianie językoznawstwa, w szczególności rozwijanie nauki o znaczeniu wyrazów, jeżeli się abstrahuje od użytkowników języka, bynajmniej nie chodzi mi o to, żeby wykazać niezbędną istnienie pragmatyki w językoznawstwie, a tym bardziej wyższość pragmatyki nad semantyką. Chodzi mi natomiast o to, aby udowodnić, że podział badań językoznawczych na takie, które można prowadzić, abstrahując od użytkowników języka, i takie, które wymagają uwzględnienia roli tych użytkowników, jest podziałem sztucznym i niemożliwym do przeprowadzenia.

Badania naukowe, których najogólniejszym celem jest studiowanie więzi między językiem a otaczającym nas światem, nie mogą toczyć się w oderwaniu od psychiki ludzkiej, a to z tej prostej przyczyny, że nie istnieje żaden bezpośredni związek między językiem a światem rzeczy. Związek ten realizowany jest wyłącznie poprzez myśli ludzi, którzy oznaczają przedmioty i fakty wyrażeniami języka, swoją zaś wiedzę o tych przedmiotach i faktach za pomocą wyrażeń języka nawzajem sobie komunikują.

Jestem przekonany, że gdyby Morris, a za nim Carnap, nie wprowadzili terminu *pragmatyka* do językoznawstwa, badania językoznawcze i semiotyczne rozwijałyby się nie mniej bujnie, niż miało to miejsce w rzeczywistości, specjaliści natomiast nawet by się nie domyślali o potrzebie istnienia takiego terminu. Jednocześnie przyznaję, że między współczesną pragmatyką a semantyką da się wytknąć wyraźniejszą linię rozgraniczenia aniżeli między pragmatyką a semantyką Carnapowsko-Morrisowską. A jednak i to, moim zdaniem, nie stwarza konieczności podziału. Wszystko, co się dziś nazywa z jednej strony *semantyką* a z drugiej *pragmatyką*, mogłoby — bez żadnego uszczerbku dla nauki — być objęte jednym działem językoznawstwa.

Recenzentka twierdzi, że wybór nazwy: *semantyka* czy też *pragmatyka* nie ma żadnego znaczenia. Nie zgadzam się z tym. Nauka o znaczeniach wyrażeń języka jako najważniejsza, być może, część językoznawstwa musiała otrzymać własną nazwę w terminologii lingwistycznej. Nazwę *semantyka* zaproponował w 1897 roku (a więc o przeszło 40 lat wcześniej aniżeli Morris i Carnap wprowadzili nazwę *pragmatyka*) Michel Bréal. Termin ten (z greckiego *sema* = *znak*), jak najbardziej pasuje do określenia nim nauki o znaczeniu wyrazów. Natomiast termin *pragmatyka* był na gruncie językoznawstwa zupełnie obcy. Nie zapominajmy, że termin *pragmatyka* dawniej oznaczał zbiór przepisów regulujących prawa i obowiązki urzędników państwowych.

I wreszcie jeszcze jedna istotna okoliczność, odnośnie do której, jak mi się wydaje, E. Dorobińska nie rozumie mego stanowiska. Ja nie ukrywam w swojej książce przekonania, że językoznawstwo mogłoby się obejść terminem *semantyka* bez terminu *pragmatyka*, i to nawet dzisiaj,

gdy treść tych terminów tak bardzo się zmieniła w porównaniu z koncepcjami Car napa i Morrisa. Pogląd mój nie jest gołosłowny, staram się go uzasadnić. Wymieniam także nazwiska kilku wybitnych współczesnych lingwistów i semiotyków, którzy — aczkolwiek badają te same zagadnienia co „pragmatycy” — unikają nawet samej nazwy *pragmatyka*, mówią zaś w swych pracach wyłącznie o semantyce. Ale nie mam najmniejszego zamiaru usiłować narzucać komukolwiek swego stanowiska. Dlatego piszę o sile i wpływach „pragmatyków”, aby wykazać, że wszelkie próby usunięcia terminu *pragmatyka* z językoznawstwa, czyli powrotu do stanu sprzed rewolucji Carnapowsko-Morrisowskiej, byłyby donkiszoterią. Nie niemożliwe do wykonania wyrugowanie pragmatyki, lecz dokładne i precyzyjne określenie i rozgraniczenie kompetencji semantyki i pragmatyki — oto zadanie stojące w skali światowej przed teoretycznym językoznawstwem i semiotyką.

I wreszcie ostatnia uwaga. Recenzja E. Dorobińskiej i moja odpowiedź na nią złożyły się na rozmowę między nami. Nie wiem, co sądzi o tym E. Dorobińska, mnie się natomiast wydaje, że rozmowa ta, w której znalazły wyraz częściowo zgodne, częściowo odmienne poglądy na istotne zagadnienia filozoficzno-językowe, była rozmową pożyteczną.